

GAYLE FORMAN

Ten jeden dzień

Przełożyła
Hanna Pasierska

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału angielskiego

Just one day

Copyright © 2013 by Gayle Forman

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcia okładkowe:

Wieża Eiffla © iStockphoto.com/william87

Para przy rowerze © iStockphoto.com/massimo colombo

Ulica © iStockphoto.com/zodebala

Dziewczyna © Mohamad Itani/Arcangel Images

Wszystkie cytaty z dzieł Williama Szekspira w przekładzie
Stanisława Barańczaka.

Grafika ze strony 86 © Foong Kok Leong/Shutterstock

DLA TAMAR: MOJEJ SIOSTRY,
*która, tak się składa,
zdecydowała się poślubić
swojego Holendra*

*Cały świat to scena,
A ludzie na nim to tylko aktorzy.
Każdy z nich wchodzi na scenę i znika,
A kiedy na niej jest, gra różne role...*

WILLIAM SZEKSPIR,
Jak wam się podoba

Rozdział dziesiąty

Zasypiam. A potem się budzę i wszystko wydaje się inne. W parku jest teraz cicho. Echo śmiechów i odgłosy gry w piłkę rozplynęły się w długim, półmrocznym zmierzchu. Utuczone, szare deszczowe chmury objęły w posiadanie ciemniejące niebo.

Zmieniło się coś jeszcze, mniej wymiernego, a zarazem w jakiś sposób bardziej elementarnego. Czuję to, gdy tylko odzyskuję świadomość; atomy i cząsteczki przeorganizowały się i cały świat zmienił się nieodwracalnie.

I wtedy zauważam dłoń Willema.

On też zasnął; jego długie ciało otacza mnie wygięte w znak zapytania. Nie dotykamy się, nie licząc tej jednej ręki, ułożonej w zagłębieniu mojego biodra niezobowiązująco jak upuszczony szalik, jakby przywiał ją tutaj lekki powiew snu. A jednak odkąd się tu znalazła, mam wrażenie, jakby to było jej miejsce. Od zawsze.

Leżę zupełnie nieruchomo, słuchając wiatru szeleszczącego wśród drzew, cichego, rytmicznego oddechu Willema. Skuipiam się na jego ręce. Mam wrażenie, jakby z czubków jego palców płynął prąd elektryczny do miejsca w moim wnętrzu, którego istnienia aż dotąd nawet nie podejrzewałam.

Chłopak zmienia pozycję przez sen i zastanawiam się, czy on też to poczuł. Jak mógłby nie poczuć? Napięcie jest tak rzeczywiste, tak namacalne, że gdyby ktoś przysunął miernik, wskaźniczka wychyliłaby się poza skalę.

Willem porusza się znowu i wbija czubki palców w delikatny punkt w zagłębieniu mojego biodra, posyłając impuls

oraz energię tak rozkosznie przeszywającą, że aż się wzdrygam, odruchowo potrącając jego nogę.

Przysięgam: jakimś cudem czuję, jak jego rzęsy trzepoczą, gdy otwiera oczy, a potem owiewa mnie gorąco jego oddechu na karku.

– *Goedemorgen* – mówi głosem wciąż łagodnym od snu.

Odwracam się twarzą do niego, wdzięczna, że nie cofnął dłoni. Na jego rumianych policzkach widzę niewielkie odgniecenia od trawy jak plemienne blizny inicjacyjne. Chcę ich dotknąć, poczuć wgłębienia na jego gładkiej poza tym skórze. Chcę dotknąć każdej części jego ciała. Jakby było olbrzymim słońcem obdarzonym własną siłą przyciągania.

– Podejrzewam, że to znaczy „milego ranka”, chociaż formalnie ciągle jest wieczór.

Moje słowa brzmią zduszone. Zapomniałam mówić i oddychać równocześnie.

– Zapominasz, że czas przestał istnieć. Oddałaś mi go.

– Oddałam ci go – powtarzam.

W tych słowach brzmi rozkoszne poddanie i czuję, jak ukradkiem przysuwam się do Willema. Jakaś część osobowości ostrzega mnie przed tym. To tylko jeden dzień. Jestem tylko jedną z dziewczyn. Obudziłam się jednak ostatecznie wyzwolona od tego fragmentu mnie samej, który umiałby się oprzeć, który mógłby się oprzeć.

Willem mruga do mnie, oczy ma ciemne, leniwe i zmysłowe. Czuję już smak naszych pocałunków. Czuję dotyk jego warg na całym ciele. Nacisk jego ostrych kości biodrowych. Park jest niemal zupełnie pusty. Kilka młodych dziewczyn w dżinsach i chustach na głowach rozmawia z chłopakami. Ale znajdują się kawałek od nas, w osobnym zakątku. A ja nie dbam już o przyzwoitość.

Moje myśli muszą być niczym film wyświetlony na ekranie. Willem widzi je doskonale. Odgaduję to z jego porozumiewawczego uśmiešku. Cał za całem przysuwamy się do siebie. Poprzez ćwierkanie cykad niemal słyszę buczenie pulsującej między nami energii, podobne do brzęczenia przewodów wysokiego napięcia.

Nagle jednak słyszę coś jeszcze. W pierwszej chwili nie wiem, co to takiego, tak silnie kontrastuje z dźwiękami w naszej bańce elektrycznego napięcia. Potem jednak rozbrzmiewa ponownie, zimny i szarpiący, otrzewiająco wyraźny, i wiem doskonale, co to. Strachu nie trzeba tłumaczyć. Krzyk brzmi tak samo w każdym języku.

Willem zrywa się na nogi. Ja też.

– Zostań tu! – rozkazuje.

I zanim się zorientuję, co się stało, odbiega już na tych swoich długich nogach, pozostawiając mnie rozdartą między pożądaniem i zgrozą.

Krzyk słyhać znowu. Dziewczęcy. A potem wydaje się, jakby wszystko przyhamowało, jak sekwencja filmowa w zwolnionym tempie. Widzę dziewczyny – te w chustach, są dwie, lecz jedna z nich nie ma już nakrycia głowy. Hidżab leży na ziemi, odsłaniając wodospad czarnych włosów, rozczochranych i naelektryzowanych, jak gdyby one też były przerażone. Dziewczyna tuli się do koleżanki, jakby próbowała się ukryć przed wzrokiem chłopaków. Którzy, jak teraz widzę, wcale nie są chłopakami, tylko mężczyznami – z tych, co się strzygą na zero i noszą mundury z demobilu oraz wielkie czarne glany. Uderza mnie natychmiast absolutne niedopasowanie tych mężczyzn do tych dziewczyn w spokojnym parku. Podnoszę plecak, który Willem po prostu porzucił, i podkradam się bliżej.

Słyszę cichy dziewczęcy płacz i gardłowy rechot mężczyzn. Potem znowu coś mówią. Nie miałam pojęcia, że francuski może brzmieć tak odrażająco.

Właśnie gdy się zastanawiam, gdzie zniknął Willem, on wchodzi pomiędzy mężczyzn a dziewczyny i zaczyna coś tłumaczyć. Mówi cicho, ale słyszę go ze swojego miejsca, pewnie za sprawą jakiejś aktorskiej sztuczki. Przeszedł na francuski, więc go nie rozumiem. W każdym razie przyciągnął uwagę skinheadów. Odpowiadają mu donośnym staccato, niosącym się echem po pustych boiskach do piłki ręcznej. Głos Willema jest spokojny i cichy niczym powiew; wytężam wszystkie siły, by pojąć choć jedno słowo, ale bezskutecznie.

Wymiana zdań się przeciąga; dziewczyny wykorzystują pretekst – zgodnie z zamierzeniami Willema – i się wymykają. Skinheadzi nawet tego nie zauważają. Albo nie dbają o to. To Willem ich teraz interesuje. W pierwszej chwili myślę, że jego urok osobisty nie zna granic. Że zaprzyjaźnił się nawet ze skinheadami. Ale potem mój słuch dostraja się do tonu jego głosu zamiast do słów. I go rozpoznaję, bo słuchałam go cały dzień. Willem drażni się z nimi. Wydrwiwa ich i nie jestem nawet pewna, czy zdają sobie z tego sprawę. Bo ich jest trzech, a on jeden, więc gdyby pojłowali, nie staliby wciąż, rozmawiając.

Czuję mdlący, słodkawy odór gorzały oraz ostry smród adrenaliny i nagle w y c z u w a m, co zamierzają zrobić Willemowi. Wyczuwam, jakby chcieli to zrobić mnie. Powinno mnie to sparaliżować strachem, lecz tak się nie dzieje. Zamiast tego budzi się we mnie coś gorącego i czulego, i bezlitosnego.

„Kto się tobą opiekuje?”

Bez namysłu sięgam do plecaka Willema, chwytam najgrubszą rzecz, jaką udaje mi się wymacać – przewodnik Rough Guide – i ruszam w ich kierunku. Nikt nie widzi, że się zbliżam, na-

wet Willem, więc mam po swojej stronie element zaskoczenia. Oraz najwyraźniej sporo siły wyzwolonej przez odruch walki lub ucieczki. Bo kiedy ciskam przewodnikiem w faceta stojącego najbliżej Willema, tego z butelką w ręce, książka trafia go z taką siłą, że upuszcza piwo. A gdy unosi rękę do czoła, wykwita na nim krwawa smuga jak czerwony kwiat.

Wiem, że powinnam się bać, ale się nie boję. Czuję się dziwnie spokojna, szczęśliwa, że znów jestem w towarzystwie Willema po sekundach rozstania, które zdawały się nieskończonością. On jednak gapi się na mnie z wytrzeszczonymi oczami i opadniętą szczęką. Skinheadzi przeczesują wzrokiem park za moimi plecami, jakby nie mogli uwierzyć, że to ja ich zaatakowałam.

Ten moment dezorientacji nas ocala. Bo w tej samej chwili ręka Willema odnajduje moją. I rzucamy się do ucieczki.

Przez park, obok kościoła i z powrotem przez szaloną, chaotyczną dzielnicę, obok herbaciarni i kafejek, i zwierzęcych tusz. Przeskakujemy nad przelewającymi się rynsztokami, mijamy gromadę motorowerów i rowerów, uskakujemy przed ciężarówkami dostawczymi wypływającymi z siebie wieszaki ubrań przybranych hojnie brokatem i cekinami.

Mieszkańcy dzielnicy przystają, by na nas spojrzeć, rozstępują się, by nas przepuścić, jakbyśmy startowali w jakiejś widowiskowej konkurencji, na olimpiadzie – w Szaleńczym Polowaniu Białych Ludzi.

Powinnam być przerażona. Ścigają mnie przecież wściekli skinheadzi, a dotąd jedyną osobą, która mnie gonila, był mój ojciec podczas joggingu. Słyszę łomot ich butów rozbrzmiewający w jednym rytmie z biciem mojego serca. Ale się nie boję. Czuję, jak moje nogi wydłużają się magicznym sposobem, bym mogła dorównać długim krokom Willema. Czuję, jak grunt

fałduje się pod naszymi stopami, jakby nam sprzyjał. Czuję, jakbyśmy ledwie muskali ziemię, jakbyśmy lada moment mogli się poderwać w niebo i pobiec po paryskich dachach, gdzie nikt nas nie dosięgnie.

Słyszę, jak za nami krzyczą. Słyszę brzęk pękającego szkła. Słyszę, jak coś ze świstem przelatuje mi obok ucha, a potem czuję na szyi coś wilgotnego, jakby moje gruczoły potowe ocknęły się nagle i uaktywniły wszystkie naraz. A potem znów słyszę śmiech i ciężkie kroki nagle milkną.

Ale Willem pędzi dalej. Wlecze mnie przez wąziutkie, jak wycięte laubzegą uliczki, aż trafiamy na szeroki bulwar. Śmigamy przez ulicę, kiedy zmienia się światło, mijając wóz policyjny. Robi się tłoczno. Mam niemal pewność, że nikt nas nie ściga. Jesteśmy bezpieczni. Willem biegnie jednak dalej, szarpiąc mnie to w tę, to w inną stronę przez serię mniejszych, spokojniejszych uliczek, aż – niczym tajemna skrytka w biblioteczce z książkami – w miejskim krajobrazie ukazuje się szpara: zaopatrzona w szyfrowy zamek brama do wytwornego apartamentowca. Jakiś staruszek z torbą na kółkach wychodzi z wewnętrznego dziedzińca i dokładnie w tej samej chwili Willem ślizgiem wpada do środka. Nasza prędkość spada z setki do zera, gdy zderzamy się z kamienną ścianą, i w tej samej chwili drzwi zatraskują się za nami.

Stoimy ramię w ramię, w odległości niespełna jednego cala od siebie. Czuję szybki, równy łomot jego serca, zdyszany oddech. Widzę strumyczek potu ściekający po jego szyi. Czuję pulsowanie własnej krwi niczym rzeki gotowej lada moment wystąpić z brzegów. Jak gdyby własne ciało nie mogło mnie dłużej pomieścić. W jakiś sposób je przerosłam.

– Willem – zaczynam.

Tak wiele chcę mu powiedzieć.

Sięga do mojej szyi i milknę; jego dotyk jest zarazem uspokajający i elektryzujący. Ale potem Willem cofa palec i widać na nim krew. Unoszę dłoń, dotykam własnej skóry. Własnej krwi.

– *Godverdomme!* – klnie chłopak półgłosem.

Drugą ręką wyjmuję z plecaka bandanę i równocześnie zlizuje krew z palca do czysta.

Przyciska mi chustkę do szyi. Bez wątpienia krwawię, ale nie mocno. Nie bardzo nawet wiem, co się stało.

– Rzucili w ciebie rozbitą butelką. – W głosie Willema słyszysz czystą furię.

Wcale jednak nie boli. Nie jestem ranna. Nie poważnie. To tylko niewielkie skaleczenie.

Chłopak stoi teraz tuż przy mnie, delikatnie przyciskając bandanę do mojej szyi. I naraz ranka nie jest już punktem ujścia krwi, lecz punktem wniknięcia tej dziwnej elektryczności wibrującej pomiędzy nami.

Pragnę go, całego. Chcę smakować jego usta, te usta, które dopiero co smakowały moją krew. Opieram się o niego.

On jednak mnie odpycha, odsuwa się. Cofa i opuszcza rękę. Bandana pokryta teraz skrzepniętą krwią zwisa swobodnie.

Podnoszę wzrok, patrzę mu w oczy. Znikły z nich wszystkie kolory i wydają się po prostu czarne. Ale bardziej niepokojące jest to, co w nich dostrzegam, coś natychmiast rozpoznawalnego: strach. I pragnę ze wszystkich sił powiedzieć coś, co go wymaże. Bo powinnam się bać. Ale dzisiaj się nie boję.

– Wszystko w porządku – zaczynam. – Nic mi się nie stało.

– Coś ty sobie w y o b r a ż a ł a ? – przerywa mi lodowato jak obcy człowiek.

I może dlatego, a może po prostu pod wpływem ulgi mam nagle ochotę się rozplakać.

– Chcieli cię skrzywdzić – mówię. Głos mi się załamuje. Patrzę na niego, by sprawdzić, czy rozumie, ale jego rysy stwardniały, gdy do strachu dołączył bliźniaczy brat: gniew. – A przecież obiecałam.

– Co obiecałaś?

W mojej głowie wyświetla się powtórka: nie doszło do bójki. Nie rozumiałam nawet, co mówili, lecz zamierzali mi zrobić krzywdę. Czułam to w kościach.

– Że się tobą zaopiekuję – odpowiadam cicho, niepewnie.

– Że się mną zaopiekujesz? To ma być opieka? – Otwiera dłoń poplamioną moją krwią.

Odsuwa się o krok; w gęstniejącym półmroku nagle sobie uświadamiam, jak całkowicie błędnie wszystko rozumiałam. Nie skręcałam na czarną trasę narciarską: runęłam z urwiska. Prośba, żeby się nim zaopiekować, to był żart. Czy kiedykolwiek w życiu opiekowałam się kimś? A on na pewno nigdy nie powiedział, że tego potrzebuje.

Stoimy w zastygającym wokół nas milczeniu. Gasną ostatnie promienie słońca, a potem zaczyna padać deszcz, niemal jakby czekał, by się zakraść pod osłoną ciemności. Willem patrzy na niebo, zerka na zegarek – mój zegarek – wciąż zapięty na nadgarstku.

Myślę o czterdziestu funtach, które mi zostały. Wyobrażam sobie cichy, czysty pokój hotelowy. I nas – nie tak jak sobie wyobrażałam przed godziną w parku, lecz po prostu milczących, słuchających deszczu. „Proszę – błagam bez słów. – Po prostu pójdźmy gdzieś i niech znowu wszystko się ułoży”.

W tym właśnie momencie Willem sięga do plecaka po rozkład pociągów Eurostar, a potem odpina zegarek. I uświadamiam sobie, że oddaje mi czas. Co znaczy, że tak naprawdę mi go odbiera.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49

faks: 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy

tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa

tel.: 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książkę wydrukowano na papierze

Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*

Redakcja *Magdalena Adamska*

Korekta *Katarzyna Sobiepanek-Szczęsna, Baharat Joanna Morawska,*

Roma Sachnowska

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12881-2

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.

Wydanie pierwsze

Druk: POZKAL, Inowrocław